



Śmierć Chrystusa, życie chrześcijanina

22.3.2016

"Wielki Tydzień nie może sprowadzać się tylko do zwykłego wspomnienia, ponieważ jest rozważaniem tajemnicy Chrystusa, która znajduje swoje przedłużenie w naszych duszach"

Homilia na Wielki Piątek, wygłoszona przez św. Josemarię i publikowana w książce *To Chrystus przechodzi*.

Śmierć Chrystusa, życie chrześcijanina

Ten tydzień, który lud chrześcijański tradycyjnie nazywa wielkim, daje nam raz jeszcze okazję do rozważenia - i przeżycia na nowo - chwil, w których dopełnia się życie Jezusa. Wszystko, co w tych dniach przypominają nam najróżniejsze przejawy pobożności, skierowane jest nieomylnie ku Zmartwychwstaniu, które jest podstawą naszej wiary, jak pisze św. Paweł. Nie przemierzajmy jednak zbyt prędko tej drogi; nie pozwólmy, żeby odeszło w zapomnienie coś bardzo prostego, co może czasem nam się wymyka: nie będziemy mogli mieć udziału w Zmartwychwstaniu Pana, jeśli nie zjednoczymy się z Jego Męką i Śmiercią. Żeby towarzyszyć Chrystusowi w Jego chwale na końcu Wielkiego Tygodnia, trzeba, abyśmy najpierw zagłębili się w Jego całopalnej Ofierze i poczuli, że stanowimy jedno z Nim, umierającym na Kalwarii.

Wspaniałomyślne oddanie się Chrystusa przeciwstawia się grzechowi, tej rzeczywistości trudnej do zaakceptowania, lecz niezaprzeczalnej: *mysterium iniquitatis*, niewytłumaczalnemu złu stworzenia, które z powodu pychy powstaje przeciwko Bogu. Ta historia jest tak stara jak Ludzkość. Przypomnijmy upadek naszych pierwszych rodziców, a następnie cały ten łańcuch nieprawości, które znaczą wędrówkę ludzi, a wreszcie nasze własne bunty. Nie jest łatwo rozważać niegodziwość, jaką stanowi grzech, i zrozumieć wszystko, co mówi nam wiara. Musimy zdać sobie sprawę, że nawet w sprawach ludzkich wielkość obrazy wyznacza kondycja obrażonego, jego wartość osobista, godność społeczna, cechy charakteru. A człowiek obraża samego Boga: stworzenie odrzuca swego Stwórcę.

Ale przecież *Bóg jest Miłością*. Przepaść zła, które niesie ze sobą grzech, została pokonana przez nieskończoną Miłość. Bóg nie opuszcza ludzi. Boże plany przewidywały, że dla zadośćuczynienia za nasze grzechy, dla przywrócenia utraconej jedności, nie wystarczą ofiary Starego Przymierza: konieczne było oddanie człowieka, który jest Bogiem. Możemy sobie wyobrazić - żeby w jakiś sposób przybliżyć sobie tę niezgłębioną tajemnicę - że Trójca Przenajświętsza, w swojej stałej, wewnętrznej relacji niezmierzonej miłości, odbywa naradę. I w wyniku tego odwiecznego postanowienia, Jednorodzony Syn Boga Ojca przyjmuje naszą ludzką naturę, bierze na siebie nasze nędze i nasze cierpienia, a w końcu zostaje przybity gwoździami do drzewa.

Ten ogień, to pragnienie spełnienia zbawczego postanowienia Boga Ojca wypełnia całe życie Chrystusa, poczynawszy od Jego narodzenia w Betlejem. W ciągu trzech lat, które uczniowie z Nim spędzili, słyszeli, jak niestrudzenie powtarzał, że Jego pokarmem jest pełnić wolę Tego, który Go posłał. Wreszcie, wczesnym popołudniem pierwszego Wielkiego Piątku, Jego ofiara się dopełniła. *Skłoniwszy głowę, oddał ducha*. Tymi słowami opisuje śmierć Chrystusa Apostoł Jan. Jezus, pod ciężarem Krzyża ze wszystkimi winami ludzi, umiera z powodu siły i nikczemności naszych grzechów.

Rozmyślajmy o Panu, od stóp do głów okrytym ranami z miłości do nas. Używając określenia, które bliskie jest rzeczywistości, chociaż nie mówi wszystkiego, możemy powtórzyć za autorem sprzed wieków: *Ciało Jezusa jest ołtarzem boleści*. Na widok Jezusa tak sponiewieranego, który stał się bezwładnym ciałem zdjętym z Krzyża i powierzonym swojej Matce; na widok tego Jezusa zmaltretowanego można by dojść do wniosku, że ta scena jest najbardziej oczywistym dowodem porażki. Gdzie są tłumy, które za Nim szły i Królestwo, którego nadejście zapowiadał? A jednak nie jest to porażka, lecz zwycięstwo - teraz jest On bliżej chwili Zmartwychwstania, ukazania się chwały, którą zdobył przez swoje posłuszeństwo, niż kiedykolwiek.

Śmierć Chrystusa wzywa nas do pełni życia chrześcijańskiego

Przeżywalismy przed chwilą na nowo dramat Kalwarii, tego, co ośmieliłbym się nazwać pierwszą i najważniejszą Mszą, sprawowaną przez Jezusa Chrystusa. Bóg Ojciec wydaje swego Syna na śmierć. Jezus, Jednorodzony Syn, obejmuje drzewo, na którym mieli Go *stracić* i Jego ofiara zostaje przyjęta przez Ojca: jako owoc Krzyża zostaje wylany na ludzkość Duch Święty.

W tragedii Męki dopełnia się także nasze własne życie i cała historia ludzkości.

Wielki Tydzień nie może sprowadzać się tylko do zwykłego wspomnienia, ponieważ jest rozważaniem tajemnicy Chrystusa, która znajduje swoje przedłużenie w naszych duszach; chrześcijanin ma obowiązek być *alter Christus, ipse Christus*, drugim Chrystusem, samym Chrystusem. Poprzez Chrzest wszyscy zostaliśmy ustanowieni kapłanami swojego własnego życia, *dla składania duchowych ofiar, przyjemnych Bogu przez Jezusa Chrystusa*, aby każdy z naszych czynów wykonywać w duchu posłuszeństwa woli Bożej, kontynuując w ten sposób misję Boga-Człowieka.

Przeciwnie, ta rzeczywistość prowadzi nas do zatrzymania się na naszych nieszczęściach, na naszych osobistych błędach. To rozważanie nie powinno nas zniechęcać ani też sprawiać, że przybierzemy sceptyczną postawę człowieka, który zrezygnował z ambitnych pragnień. Pan bowiem wzywa nas takich, jakimi jesteśmy, abyśmy uczestniczyli w Jego życiu, abyśmy walczyli o bycie świętymi. Świętość - ileż razy wymawiamy to słowo tak, jakby było pustym dźwiękiem! Dla wielu jest ona nawet nieosiągalnym ideałem, ascetycznym banałem, a nie konkretnym celem, żywą rzeczywistością. Nie myśleli w ten sposób pierwsi chrześcijanie, którzy używali słowa "święci", żeby z całą naturalnością bardzo często określać nim samych siebie: *pozdrawiają was wszyscy święci; pozdrówcie każdego świętego w Chrystusie Jezusie*.

Teraz, kiedy na Kalwarii Jezus już umarł, a nie objawiła się jeszcze chwała Jego zwycięstwa, jest dobra okazja, żeby zbadać nasze pragnienie życia po chrześcijańsku, świętości; żeby zareagować aktem wiary wobec własnych słabości i ufając w moc Bożą, uczynić postanowienie wkładania miłości w nasze codzienne sprawy. Doświadczenie grzechu powinno prowadzić nas do bólu, do dojrzałego i głębszego postanowienia bycia wiernymi, prawdziwego utożsamienia się z Chrystusem i wytrwania - choćby to wiele kosztowało - w tej kapłańskiej misji, którą On powierzył wszystkim swoim uczniom bez wyjątku, a która przynagla nas do bycia solą i światłem świata.

Rozmyślanie nad śmiercią Chrystusa staje się zaproszeniem do podejścia z absolutną szczerością do naszych codziennych zajęć; do potraktowania poważnie wiary, którą wyznajemy. Dlatego Wielki Tydzień nie może być świętym epizodem wyrwanym z kontekstu życia kierującego się tylko ludzkimi sprawami: powinien być okazją do lepszego zrozumienia głębi Miłości Boga, żeby móc słowem i czynem ukazywać ją innym.

Jednak Pan określa warunki. Jest takie jedno Jego oświadczenie, zachowane dla nas przez św. Łukasza, którego nie można pominąć: *Jeśli kto przychodzi do Mnie, a nie ma w nienawiści swego ojca i matki, żony i dzieci, braci i siostr, nadto i*

siebie samego, nie może być moim uczniem. To twarde słowa. Z całą pewnością hiszpańskie "nienawidzić" czy też "mieć w nienawiści" nie wyraża dobrze pierwotnej myśli Chrystusa. W każdym razie słowa Pana były mocne, nie sprowadzały się do znaczenia: *kochać mniej*, jak czasem powściągliwie się je interpretuje, żeby złagodzić to zdanie. To categoryczne wyrażenie jest tak szokujące nie dlatego, że oznacza postawę negatywną lub bezlitosną, bo ten Jezus, który teraz mówi, jest tym samym, który nakazuje kochać innych jak siebie samego i który oddaje swoje życie za ludzi: to wyrażenie wskazuje po prostu, że wobec Boga nie może być niejasnych postaw. Można by przetłumaczyć te słowa Chrystusa raczej jako *kochać bardziej, kochać lepiej*, nie kochać miłością egoistyczną ani o małym zasięgu: powinniśmy kochać Miłością Boga.

O to chodzi. Zwróćmy uwagę na ostatnie wymaganie Jezusa: *et animam suam*. Życie, własna dusza - o to prosi nas Pan. Jeśli jesteśmy zarozumiali, jeśli troszczymy się tylko o swoją osobistą wygodę, jeśli czynimy z siebie samych ośrodek życia innych, a nawet świata, nie mamy prawa nazywać się chrześcijanami ani uważać się za uczniów Chrystusa. Trzeba oddać się czynem i prawdą, a nie tylko językiem. Miłość Boża zaprasza nas do tego, abyśmy samodzielnie nieśli krzyż, abyśmy poczuli na sobie ciężar całej ludzkości i wypełniali - w okolicznościach właściwych dla stanu i pracy każdego z nas - wyraźne, a zarazem pełne miłości zamysły woli Ojca. W omawianym fragmencie Jezus mówi dalej: *Kto nie nosi swego krzyża, a idzie za Mną, ten nie może być moim uczniem.*

Przyjmijmy bez lęku wolę Bożą, bez wahania uczynmy postanowienie budowania całego swojego życia zgodnie z tym, czego nas naucza i czego od nas wymaga nasza wiara. Możemy być pewni, że napotkamy walkę, cierpienie i ból, ale jeśli naprawdę posiadamy wiarę, nigdy nie będziemy uważać się za nieszczęśliwych: także pośród trudności, a nawet oszczerstw, będziemy szczęśliwi szczęściem, które każe nam kochać innych, aby uczynić ich uczestnikami naszej nadprzyrodzonej radości.

Chrześcijanin wobec historii ludzkości

Bycie chrześcijaninem nie jest powodem do zwykłego osobistego zadowolenia: ma charakter - naturę - misji. Już wcześniej wspominaliśmy, że Pan zaprasza wszystkich chrześcijan do tego, by byli solą i światłem świata. Idąc za tym nakazem i posługując się tekstami zaczerpniętymi ze Starego Testamentu, św. Piotr pisze słowa, które bardzo jasno wyznaczają to zadanie: *Wy zaś jesteście wybranym plemieniem, królewskim kapłaństwem, narodem świętym, ludem Bogu*

na własność przeznaczonym, abyście ogłaszali dzieła potęgi Tego, który was wezwał z ciemności do przedziwnego swojego światła.

Bycie chrześcijaninem nie jest czymś drugorzędnym; jest to Boża rzeczywistość, która przenika samo wnętrze naszego życia, dając nam czyste spojrzenie i zdecydowaną wolę postępowania tak, jak chce Bóg. W ten sposób uczymy się, że pielgrzymowanie chrześcijanina w świecie powinno się przemieniać w nieustanną służbę świadczoną na bardzo różne sposoby, zależnie od osobistych okoliczności, ale zawsze z miłości do Boga i do bliźniego. Bycie chrześcijaninem - to działanie bez myślenia o przyziemnych celach związanych z prestiżem czy ambicjami, bez pobudek, które mogą wydawać się bardziej szlachetne, jak altruizm albo współczucie wobec cudzego nieszczęścia; to podążanie ku radykalnemu i ostatecznemu celowi, jakim jest miłość, którą Chrystus okazał, umierając za nas.

Spotyka się czasami postawy będące wynikiem niezrozumienia tej tajemnicy Jezusa. Na przykład ci, którzy postrzegają chrześcijaństwo jako zbiór pobożnych praktyk lub uczynków, nie dostrzegając ich związku z sytuacjami codziennego życia, z koniecznością troszczenia się o potrzeby innych oraz starania się o zaradzenie niesprawiedliwościom.

Powiedziałbym, że ci, którzy prezentują tę mentalność, nie zrozumieli jeszcze, co oznacza fakt, iż Syn Boży stał się człowiekiem, że przyjął ciało, duszę i głos człowieka, że dzielił nasz los aż po rozdzierające w najwyższym stopniu doświadczenie śmierci. Niektórzy, być może niechcący, wciąż uważają Chrystusa za kogoś obcego pośród ludzi.

Inni - dla odmiany - wyobrażają sobie, że aby móc być ludzkimi, trzeba przemilczeć niektóre centralne aspekty doktryny chrześcijańskiej, i postępują tak, jak gdyby życie modlitewne, nieustanne obcowanie z Bogiem, stanowiło ucieczkę przed własnymi obowiązkami i porzucenie świata. Zapominają, że to właśnie Jezus pokazał nam, do jakiego krańca powinny dochodzić miłość i służba. Jedynie wtedy, gdy postaramy się zgłębić tajniki miłości Boga, tej miłości aż do śmierci, będziemy w stanie oddać się całkowicie innym, nie dając się pokonać trudnościom czy obojętności.

To wiara w Chrystusa zmarłego i zmartwychwstałego, obecna w każdej chwili naszego życia, oświeca nasze sumienia, pobudzając nas do uczestniczenia ze wszystkich sił w zmiennych kolejach i problemach ludzkiej historii. W tej historii, która rozpoczęła się wraz ze stworzeniem świata i która skończy się wraz z

wypełnieniem się wieków, chrześcijanin nie jest apatrydą. Jest obywatelem miasta ludzi, z duszą pełną pragnienia Boga, którego miłość zaczyna dostrzegać już w tym doczesnym życiu i w Nim rozpoznaje cel, do którego wezwani są wszyscy żyjący na ziemi.

Jeśli interesuje was moje osobiste doświadczenie, to mogę powiedzieć, że swoją pracę kapłana i duszpasterza pojmowałem zawsze jako dążenie do stawiania każdego człowieka wobec wszystkich wymagań jego życia i świadczenie mu pomocy w odkryciu tego, o co konkretnie prosi go Bóg, bez ograniczania w jakikolwiek sposób tej świętej niezależności i tej błogosławionej odpowiedzialności osobistej, które charakteryzują chrześcijańskie sumienie. Ten sposób postępowania i ten duch opierają się na szacunku dla transcendencji prawdy objawionej i na umiłowaniu wolności istoty ludzkiej. Mógłbym jeszcze dodać, że opierają się też na pewności co do braku determinacji historii, otwartej na wiele możliwości, których Bóg nie chciał wykluczać.

Naśladowanie Chrystusa nie oznacza szukania schronienia w świątyni i pozostawiania obojętnym na rozwój społeczeństwa, na trafne i błędne poczynania ludzi i narodów. Przeciwnie, wiara chrześcijańska prowadzi nas do postrzegania świata jako dzieła Pana; do doceniania wszystkiego, co szlachetne i co piękne; do uznawania godności każdej osoby uczynionej na obraz Boga i do podziwiania tego szczególnego daru wolności, dzięki któremu jesteśmy panami własnych czynów i możemy - z łaską Nieba - budować swoje wieczne przeznaczenie.

Byłoby umniejszaniem wiary sprowadzanie jej do ziemskiej ideologii i podnoszenie polityczno-religijnego sztandaru dla potępienia - nie wiadomo w imię jakiego Bożego nadania - tych, którzy nie myślą w ten sam sposób w sprawach, które ze swej własnej natury mogą mieć liczne i różne rozwiązania.

Zgłębiać sens śmierci Chrystusa

Dygresja, którą właśnie uczyniłem, miała jedynie na celu ukazanie pewnej zasadniczej prawdy: miała przypomnieć, że życie chrześcijańskie znajduje swój sens w Bogu. Ludzie nie zostali stworzeni tylko po to, żeby zbudować jak najbardziej sprawiedliwy świat; zostaliśmy bowiem umieszczeni na ziemi także po to, aby wejść w komunię z samym Bogiem. Jezus nie obiecał nam ani doczesnych wygod, ani ziemskiej chwały, lecz dom Boga Ojca, który oczekuje nas na końcu drogi.

Liturgia Wielkiego Piątku zawiera przepiękny hymn: *Crux fidelis*. W tym hymnie

zaprasza się nas do wyśpiewywania i celebrowania chwalebnej walki Pana, zwycięstwa Krzyża, znamienitego tryumfu Chrystusa: Odkupiciel Wszechświata, złożony w ofierze, zwycięża. Bóg, Pan wszelkiego stworzenia, nie utwierdza swojej obecności siłą broni ani nawet doczesną potęgą swoich wyznawców, lecz wspaniałością swej nieskończonej miłości.

Pan nie niszczy wolności człowieka: to właśnie On uczynił nas wolnymi. Dlatego nie chce wymuszonych odpowiedzi, chce decyzji wypływających z głębi serca. I oczekuje od nas, chrześcijan, że będziemy żyć w taki sposób, aby ludzie, którzy z nami obcuja, pomimo naszych nędz, błędów i wad, dostrzegali echo dramatu miłości z Kalwarii. Wszystko, co mamy, otrzymaliśmy od Boga, żeby być solą, która nadaje smak; światłem, które zanieśie ludziom radosną nowinę, że On jest Ojcem, który miłuje bez miary. Chrześcijanin jest solą i światłem świata nie dlatego, że zwycięża lub tryumfuje, lecz dlatego, że daje świadectwo miłości Boga. Nie będzie solą, jeśli nie nada się do solenia; nie będzie światłem, jeśli przez swój przykład i swoje nauczanie nie będzie dawać świadectwa o Jezusie, jeśli utraci to, co stanowi rację jego życia.

Wypada, abyśmy zgłębili to, co nam objawia śmierć Chrystusa, nie zatrzymując się na zewnętrznych formach czy stereotypowych stwierdzeniach. Potrzeba, abyśmy weszli naprawdę w sceny, które przeżywamy w tych dniach: ból Jezusa, łzy Jego Matki, ucieczka uczniów, odwaga świętych niewiast, śmiałość Józefa i Nikodema, którzy proszą Piłata o ciało Pana.

Zbliży się więc do martwego Jezusa, do tego Krzyża zarysowującego się na szczycie Golgoty. Ale zbliży się ze szczerością, umiejmy odnaleźć to wewnętrzne skupienie, które jest oznaką dojrzałości chrześcijańskiej. W ten sposób Boskie i ludzkie wydarzenia Męki przenikną naszą duszę jak słowo, które kieruje do nas Bóg, odkryją tajniki naszego serca i objawią nam, czego oczekuje On od naszego życia.

Przed wielu laty widziałem pewien obraz, który wrył się głęboko w moim wnętrzu. Przedstawiał Krzyż Chrystusa, a obok niego trzech aniołów: jeden płakał niepokieszony; drugi trzymał w ręku gwóźdź, jakby po to, aby się przekonać, że to prawda; trzeci był skupiony na modlitwie. Oto program zawsze aktualny dla każdego z nas: płakać, wierzyć i modlić się.

Wobec Krzyża - ból z powodu naszych grzechów, z powodu grzechów ludzkości, które zaprowadziły Jezusa na śmierć; wiara, aby zgłębić tę wzniosłą prawdę, która przewyższa wszelkie zrozumienie i zachwycić się miłością Boga; modlitwa, aby życie i śmierć Chrystusa stały się wzorem i zachętą dla naszego życia i dla

naszego oddania. Tylko w ten sposób będziemy mogli nazywać się zwycięzcami, bowiem Chrystus zmartwychwstał w nas zwycięży, a śmierć przemieni się w życie.